



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

— Brawo, młodzieńcze! — zawołał wesoło kapitan — widzę że masz w żyłach krew a nie wodę i że mocarstwo, które cię wysyła na dwór naszego miłościwego pana, dobry zrobiło wybór. Dziecinną masz twarz, ale mówi przez ciebie mężczyzna. Nie chciałem wcale zrobić przykrości dostojnemu podróżnemu, którego mam zaszczyt wieść. Uwagę jaką odemnie słyszałeś, natchnęła nie chęć ubliżenia twemu narodowi, bo nie była ona wyrazem moich



osobistych przekonań, ale streszczeniem posłyszanych wieści. Skoro zaś im przeczysz, wierzę ci najzupełniej. Cofam moje wyrazy i proszę abyś o nich zapomniał.

Wyciągnął do mnie szeroką, żyłastą dłoń.

— Z całego serca, panie kapitanie — odpowiedziałem, położywszy na niej moją rękę, a gdy zniknęła całkowicie w jego uścisku, potrząsnął nią i rzekł:

— Jego Królewiczowska Mość przesyłając mi rozkaz prze-

wiezienia pana na pokładzie Narcyza, polecił mi traktować go z wszelkimi względami odpowiedniami godności posła. Narcyz woził już nieraz osoby znakomite, a między nimi posłów zagranicznych i wie co się komu należy, chociaż co prawda nigdy jeszcze nie miał na swoim pokładzie posła czternastoletniego; ale wiek nie tu nie ma do rzeczy, skoro godność istnieje. Jednym z najpierwszych przywilejów poselskiej godności, jest tytuł ekscelencyi.

To powiedziawszy, popatrzył na mnie z pewną wesołością i zapytał.

— Tytuł bardzo ładnie brzmiący, nieprawdaż?

Zaczerwieniłem się cokolwiek, że tak mnie odgadł, bo właśnie to samo sobie myślałem. Tytuły są wprawdzie rzeczą czcą, ale jeżeli należą się posłom, czy mam prawo, czy powinienem należny mi tytuł odrzucić? Honory wszelkie jakie mnie spotkać mogą, nie mojej osobie przecież, ale Wieczorom rodzinnym, które reprezentuję, są oddawane, zatem zrzekając się ich, postąpiłbym tak jakbym chciał godność Wieczorów obniżyć. Milczałem więc, co kapitan widocznie wziął za potwierdzenie, bo rzekł.

— Jego ekscelencya musi być bardzo głodny, bo już półna godzina. Proszę do mojej kajuty na śniadanie.

Poszedłem za nim i wkrótce przyniesiono obfitą zastawę. Kapitan czynił mi honory z nadzwyczajną uprzejmością, jakby chciał tem zatrzeć wrażenie pierwszego naszego nieporozumienia.

— Czy ekscelencya zwykł pijać kawę czy herbatę? Poseł hiszpański, który niedawno woził od Alfonsa XIII-go lalkę mówiącą, systemu Edisona, dla następczyni tronu, księżniczki

Gori, pijał czekoladę. Jeżeli ekscelencya ma gust hiszpański, kucharz okrętowy ugotuje ją natychmiast.

Za każdym razem gdy kapitan wymawiał wyraz „ekscelencya” a czynił to zawsze z przyciskiem, występował na twarz moją rumieniec i nie mogłem jakoś przełknąć ani szynki ani jaj, choć głód mi dokuczał, do czego dopomagała i ta okoliczność, że nie wiedziałem czy jadłem tydzień temu czy wczoraj. Zaprzeczyłem jakoby miał gust hiszpański i rzekłem wręcz.

— Panie kapitanie, przestań pan nazywać mnie ekscelencyą. Za młody jestem na ten tytuł i niczem sobie na niego nie zarobiłem. Godność posła dostała mi się tylko szczęśliwym trafem losu. Sądzę że Wieczory rodzinne nie wezmą mi za złe, że się tytułu tego dobrowolnie zrzekam; głosiły one niejednokrotnie zasady, że nie tytuły, ale osobista zasługa stanowi wartość człowieka. Pan, panie kapitanie, doczekałeś się siwizny w służbie publicznej i mógłbyś być moim ojcem, a ja jeszcze nic nie zrobiłem. Nazywaj mnie pan, proszę, po prostu Jankiem.

— Daj mi chłopcze rękę, niech ją uścisknę za te poczciwe wyrazy — powiedział serdecznie Tamarix. — Znam cię dopiero od godziny, a już cię muszę szanować. Anglik o którym ci wspomniałem, zapewniał mnie także, że Polacy są próżni i żądni tytułów, ale widzę że i w tem źle mnie objaśnił.

O jakżem sobie dziękował, usłyszawszy te słowa kapita-
na, że posłuchałem głosu mego sumienia, inaczej dałbym mu zachowaniem się swoim niekorzystne wyobrażenie o całym narodzie. Widzę że człowiek nie powinien nigdy zapominać że jest częścią większej całości i że należy czuć ustawicznie nad sobą, aby postępowaniem swem nie rzucać cienia na tę całość. Tamarix mówił dalej.

— Chciuję mnie objaśnić Janku, co to za kraj te Wieczory rodzinne, które masz na dworze naszego monarchy przedstawiać. Jestże to mocarstwo lądowe czy morskie, bo na żadnej mapie nie spotkałem jeszcze kraju tego nazwiska?

— Nie jest to państwo natury materialnej — odpowiedziałem — nie używa ono ani wojska ani floty dla czynienia podbojów. Rozsyła pułki białych kartek, porysowanych w drobne czarne paseczki, i te bez rozlewu krwi, bez wystrzału, zdobywają młodociane serca, używając w miejsce dział, prozy, poezji, zagadek, konkursów...

— Ach, to jest zatem dziennik?

— Tygodnik ilustrowany — poprawiłem!

— Tygodnik, hm; dziennikarstwo nabrało dziś takiego znaczenia, że moi tego świata rachować się z niem muszą. Stanley niegdyś korespondent nowojorskiego Herald'a, napelniał świat cały swoją sławą, i oto monarchowie przyjmują go po królewsku.

— Ja nie zostałem wysłany w celach politycznych ani handlowych — odrzekłem. — Wczorom idzie o korespondencyę z królestwa roślin.

— I Stanley od skromnej roli korespondenta rozpoczął swoją karierę — powiedział żartując kapitan.

Wspomniałem mu jaką przykrość sprawił mi podstęp, którego użyto względem mnie, dla przewiezienia mię na okręt bez mej świadomości, ale Tamarix rozśmiał się tylko.

— Taki był rozkaz — rzekł.

— Panie kapitanie — odezwałem się po chwili — wiem że jeżeli pana zapytam gdzie obecnie jesteście, nie otrzymam odpowiedzi, ale może pan powie mi chociaż, jak się nazywa państwo króla Bożydara?

Tamarix popatrzył na mnie.

— Królestwo Fantazji.

— Pan kapitan ze mnie żartuje — odrzekłem urażony — geografowie nic nie wiedzą o takim kraju. Gdzież on leży?

— Wszędzie, zagarnął bowiem świat cały pod swoje panowanie.

Widziałem że rozmawiać z nim o tem dłużej byłoby zupełnie bezpożytecznym, wróciłem więc do poprzedniego przedmiotu i zapytałem jak dawno znajduję się na pokładzie Narcyza.

— Nie mogę ci na to odpowiedzieć — rzekł Tamarix.

— A czy możesz mi pan chociaż powiedzieć, kiedy Narcyz w porcie Atlanty zarzuci kotwicę?

— Jutro wieczorem.

— Jestże to okręt handlowy, czy pasażerski?

— Ani jedno, ani drugie. Narcyz przeznaczony jest wyłącznie do przewozu roślin. O szybkość żeglugi nie chodzi nam wcale; żeglujemy po wszystkich morzach, opływamy wszystkie kraje i gdzie tylko posłyszemy o czemś osobliwem, zabieramy to z sobą natychmiast. Każdy z trzech królewiczów posiada własną flotę, czynną wyłącznie w usługach jego królestwa. Obecnie spodziewana jest z powrotem Mewa królewicza Pióropuszką ze zwierzętami, i Ametyst Krysztalką z minerałami.

— Czy wolno wiedzieć jaki ładunek wiezie Narcyz?

— O, co do tego, tajemnica jest zbyt cenną. Wieziemy różne osobliwości świata roślinnego, a między niemi prześlizczony sycylijski goździk Małgorzata, przechodzący pięknosciami wszystkie goździki dotąd znane.

— A więc płyniemy na południe — pomyślałem i przypomniałem sobie słowa królewicza Zielonki, wyczytane w liście Abrakadabrusa: „może jaki wąty, niezamożny chłopczyzna będzie potrzebował zmiany miejsca, cieplejszego klimatu”.

— I bardzo rzadką odmianę storczyka, z gatunku *Cathleya parvivaliana*. Kosztuje dwa tysiące pięćset franków. Złoto zapłacone za niego, ważyło więcej niż roślina. Czy znasz storczyki, Janku?

— Skoro kapitan oblicza na franki, to znak że znajdujemy się gdzieś około brzegów Francji, pomyślałem i odrzekłem. Zbierałem nieraz po łąkach ładne kwiatki różowe, wznoszące się w kształcie kłosa na niskiej łodydze. Liście ich bywają śpiczaste, często ciemnymi plamkami upstrzone. Mówiono mi że to są storczyki.

— Ale czy kiedy przypatrywałeś się im bliżej? Czy zastanawiałeś się nad wewnętrzną budową kwiatów z których taki kłos się składa? Storczyki, po łacinie *Orchidee*, jest to wielka w królestwie kwiatów arystokracja, ród szlachetny, rycerski. Każdy nosi helm i ostrogi, a ci co ostrog nie mają, noszą oddzielne nazwisko *Ophris*. Rycerze wieków średnich, przybierali nieraz swe zbroje w skóry dzikich zwierząt, nosili wilcze głowy na helmach, ptaki, pawie ogony, nieinaczej jest ze storczykami. Wypowiedzieć ci nie potrafię, jak wspaniałe, jak dziwaczne, jak różnorodne są ich kształty! Patrząc nieraz na nie, nie domyśliłbyś się nawet, że są spokrewnione ze skromnymi kwiatkami, które zbierałeś po łąkach, choć gdybyś zbadał wewnątrz kwiatu, wszędzie znalazłbyś cechy jedne i te same. U królewicza Zielonki znajdziesz prawie wszystkie główne gatunki storczyków: są między niemi podobne do ptaków, do owadów, do głów zwierzęcych a nawet głowy ludzkiej, do dzbanuszków porcelanowych, słowem do wszystkiego co tylko bujna nieraz wyobraźnia wymyślić zdoła — i temi szczególnymi podobieństwami, wprowadzają często w błąd ludzi i zwierzęta.

Kapitan widocznie znał się na kwiatkach i miał do nich zamiłowanie, widziałem to z jego słów. O, jakże mi pilno było ujrzeć cuda o których opowiadał!

— Czy podobna jednakże, aby ten jeden storczyk tylko stanowił ładunek Narcyza? — spytałem.

Samo to przypuszczenie rozśmieszyło Tamarixa.

— O, naturalnie że nie — odpowiedział. — Narcyz wiezie do Atlanty wiele innych rzeczy, a przedewszystkiem wielkie skrzynie rozsadek *Elodei kanadyjskiej*, rośliny mającej własność oczyszczania wód stojących, z części gnilnych szerszających miazmaty.

Przed oczyma memi stanął obraz chorego cudzoziemca, któremu, jak pisał Abrakadabrus, królewicz chciał uzdrowotnić moczary. Ale rozsadek *Elodei* w takiej ilości jaką wiozł, Narcyz, można było zabrać tylko z krajów, gdzie znajdowała się w wielkiej ilości — a więc z Anglii lub północnego Hanoweru. Czyżbyśmy zatem znajdowali się na morzu Północnem? Ale jeżeli jesteśmy koło brzegów Francji, to chyba na Oceanie Atlantyckim? Atlantyck, Atlanta, są to nazwy do siebie

zbliżone; bardzo być może że tajemnicza wyspa, od oceanu wzięła swoje nazwisko.

— Nie te osobliwości jednak były głównym celem naszej wyprawy — mówił dalej Tamarix. — Przedsięwzięliśmy ją dla pewnej lichiej trawki, o którą bardzo chodziło królewiczowej Jagódce. Rośnie ona w twoim kraju młodzieńcze, w puszczy białowiezkiej i nazywa się żubrówką, czyli turówką, po łacinie *Hierochloa borealis*, dla tego że stanowi ulubioną paszę żubrów, tego starożytnego, wygasającego już dziś w Europie rodu zwierząt. Królewiczowa słyszała od jakiegoś cudzoziemca o tej trawie, że wydaje woń nader przyjemną, tak przyjemną, iż mogłaby nawet służyć do wyrobu pachnidel. Aromatyczniejsza jest od znanej tomki; nie tylko części kwiatowe, ale i liście pachną. Po zapachu odróżnić można żubrówkę od innych traw do niej podobnych, że zaś nasienia jej nigdzie w handlu niema, więc musieliśmy nakopać z ziemią bardzo dużo tej trawy. Rzecz dziwna! Królewiczowa posiadająca wszystkie wonności Wschodu, ona, której na każde skinienie dowożą fiołki z Parmy, róże z Nicei i wszystkie woniejące kwiaty ze wszystkich części świata, zapragnęła koniecznie lichiej, niepozornej trawy z dalekiego kraju! Ale kobiety czasem dziwne mają fantazyje!

— A więc Narcyz wypłynął z jednego z portów bałtyckich — myślałem — ale tym sposobem przy powolnem posuwaniu się statku, po pięć węzłów na godzinę, podróżuję już z nim razem conajmniej miesiąc... Jestże to możliwe? Miesiąc w stanie snu, bez jedzenia i nie schudłem nawet. Dziwne, dziwne rzeczy!

Podniosłem oczy i spotkałem się ze wzrokiem kapitana. Patrzył na mnie z uśmiechem, jakby w duszy mej czytał i bawiło go moje szukanie w myśli tropów Narcyza. Jakby dla wprowadzenia mnie w większą jeszcze matnię, dodał.

— Oprócz tego wieziemy jeszcze rośliny amerykańskie i indyjskie — i przeprosiwszy mię, wyszedł na chwilę.

— A więc gdzie ja jestem, w jakiej stronie świata? — rozważałem poraz setny może. — Czy podobna abym odbył podróż naokoło ziemi, nic o tem nie wiedząc? Ciekawość, której zaspościć nie mogłem, zaczęła mnie dręczyć straszliwie. Zobaczyłem na stoliku pod oknem mapy zwinięte w rulon i nie mogłem się oprzeć chęci rzucenia na nie okiem. Ta co leżała na wierzchu, była mapą Europy. W tej chwili wszedł kapitan i rzekł.

— Barometr spada. Czy nie chcesz, Janku, wyjść trochę na pokład, dopóki mamy jaką taką pogodę?

— I owszem — odpowiedziałem — nie mogąc oprzeć się podejrzeniu że idzie mu o oddalenie mnie z kajuty — i wyszliśmy na pokład.

— Patrzaj — rzekł Tamarix, pokazując mi drobny ciemny punkt na zachodzie. — Czy widzisz tę chmurkę?

— Widzę, ale cóż to znaczy wobec tak pięknej pogody?

— Z tej chmurki może przyjść dziś do nas burza. Czy nie lękasz się?

— Nie — odrzekłem — przeciwnie, rad jej będę. Jeżeli morze jest tak cudowne w czasie spokoju, jakże wspaniałe być musi w czasie burzy!

— Jest ono wspaniałe — rzekł potrząsając głową kapitan — ale nikt wtedy nie ma ochoty przyglądać się jego wspaniałości.

Podczas gdy tak rozmawialiśmy, zauważyłem, że sternik obejrzał się na nas, i upewniwszy się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wydobyl z kieszeni jedną jagodę winogronową i włożył w usta. Postępowanie to wydało mi się co najmniej dziwnem. Dla czego sternik ukrywał się z rzeczą tak niewinną przed kapitanem, który nie wydawał się bynajmniej srogim człowiekiem? Zauważyłem też że nos jego czerwony już z rana, teraz był jeszcze czerwieńszy. Kapitan zwrócił się do niego z jakimś zapytaniem, na co sternik odpowiedział jakąkaję się. Tamarix popatrzył na niego uważnie i coś mu mówił, czemu tamten energicznie zaprzeczał, ale nie wiedziałem o co idzie, bo po atlantyjsku mówili — poczem kapitan rzekł do mnie.

— Pasternak jest dobrym człowiekiem i dzielnym marynarzem, ale lubi zalewać sobie głowę. Na okręcie trzeźwość jest koniecznie potrzebna, a racye wódki wydawane majtkom, muszą im wystarczyć. Po nad to, żadnych trunków ukrywać przy sobie nie wolno. Pasternak dostał racyę zbyt szczupłą, aby mogła zawrócić mu głowę, a jednak, przysięgłbym że jest pijany.

Dostrzegł jakiś czarny punkt na widnokregu i kazał podać sobie lunetę, a popatrzawszy przez nią, rzekł do mnie:

— Okręt!

Spojrzałem we wskazanym kierunku i dojrzałem także punkt wielkości łebka od szpilki, powiększający się bardzo powoli, wkrótce jednakże był już tak duży jak orzech. Po niejakiem czasie mogliśmy rozróżnić kształty statku. Tamarix patrzący ciągle przez lunetę, rzekł.

— Zdaje mi się że to jest Ametyst, okręt królewicza Kryształka.

Okręt tamten musiał także spostrzedz i poznać Narcyza, bo sterował wprost na niego. Był to trzymasztowiec nieco większy od naszego statku. Gdy się nieco przybliżył, zamieniono oznaki powitalne, przyczem zauważyłem że na maszcie powiewał złoty kilof górniczy, utkwiony w bryłę węgla. Następnie oba statki tak się do siebie zbliżyły, że można było rozmawiać przez tubę. Kapitan Ametysta, człowiek znacznie młodszy od Tawarixa, wysoki jak tyka, pierwszy przemówił.

— Barometr spada!

— Leci na łeb na szyję — odparł Tamarix — będziemy mieli burzę.

— Tak, ale jeszcze nie zaraz. Co tam osobliwego wieziecie?

— Storczyk za tysiąc pięćset franków i posła. A wy?

— Posła? jakiego? gdzie on jest?

— Tu oto — odparł wskazując na mnie.

— Taki mały! a to doprawdy osobliwość. Czy to z krainy Liliputów?

— Z bardzo potężnego państwa, które używa tylko papierowej anunicyi i bierze twierdze bez wystrzału — odrzekł Tamarix.

— Ho, ho!

Rozmowa ta toczyła się w języku atlantyjskim, ale Tamarix mi ją w całości powtórzył. Gniew mnie ogarnął.

— Panie kapitanie — zawołałem po francuzku — nie mam przyjemności pana znać, ale widzę że pochodzisz z krainy Wielkoludów.

Tamarix parsknął śmiechem.

— Mały jestem, ale potrafię dźwignąć miecz w razie potrzeby. Dawid był także mały, a jednak zabił Goliata! W moim kraju panie kapitanie, nie brakuje Goliatów, a jednak dajemy sobie z niemi radę.

Dowódca Ametysta spoważniał.

— Poseł jest mały — powiedział — ale widzę że rycerskiego ducha w sobie nosi. Poważam stan rycerski i chcę z nim żyć w zgodzie. Bądźmy przyjaciółmi, panie pośle!

To mówiąc skłonił mi się po wojskowemu, na co ja z równą odpowiedziąm uprzejmością. Tamarix rozweselony tą przygodą, zawołał.

— Niechże się dowiem u licha, co wieziecie?

— Osobliwość nad osobliwości — odrzekł tamten.

— To już chyba ów sztuczny dyament Parsonsa, którego monarcha wasz tak bardzo pragnie.

— Nie, ale coś równie rzadkiego. Wiozę roślinę, do której jednakże królewicz Zielonko nie ma żadnego prawa, bo stała się minerałem.

— Roślinę, która stała się minerałem! — zawołał zdziwiony — cóż to takiego być może? Chyba węgiel!

— Nie, drzewo skrzemieniałe.

— Skrzemieniałe, chyba chcesz pan powiedzieć.

— Nie. Kamień i krzemień to różnica. W północnej Ameryce, na terytoryum Arizony odkryto niedawno, pod grubą warstwą piaszkowca, pokład skrzemieniałych pni drzewnych.

Zjechali na miejsce uczeni badacze i orzekli, że w dawnych, bardzo dawnych czasach, istniał tam wspaniały las dziewiczy, o roślinności stref południowych. Drzewa w nim były z rodzaju *Araucaria*, i inne podobne do cedru. Las ten uległ losowi Herkulanum i Pompei, to jest przez wybuchający wulkan został nagle powalony i zasypany popiołem i lawą, a z biegiem czasu powleczony wytworzoną warstwą piaskowca. Grubość pokrywającej go owęj troistej warstwy, to jest lawy, popiołu i piaskowca, dochodzi miejscami do dziesięciu

przeobrażenie drzewa z wiernym zachowaniem pierwotnych kształtów, w niektórych bowiem wyraźnie odróżnić się daje warstwa kory, słoje przyrostów rocznych, a nawet budowa naczyń. W skamieniałości następuje zawsze przemiana substancji: woda nasycona jest materiami wapiennymi, które składa na powierzchni ciał organicznych, roślin czy zwierząt, trwałą w ten sposób pokrywając je powłoką kamienną węglanu wapna, tu zaś nastąpiła zamiana, a to wielka różnica.

— Czy pan oglądałeś ten las? — zapytał Tamarix.



Kobiety perskie.

i piętnastu łokci. Pod jęj to osłoną, dokonało się skrzemienie pni drzewnych.

— Jakie przyczyny jednakże spowodowały to skrzemienie? — zapytałem za pośrednictwem tuby.

— W tym względzie niema pomiędzy uczonymi zgody. W ogóle jednak twierdzą, że wody mineralne, przesączające się przez pokrywającą pnie, lawę i popiół, wciskały się w tkankę komórek drzewnych i osadzając swe mineralne cząstki, wywołały zwolna ich skamienienie. Spowodowało to zupełne

— Ach, kapitanie, brak mi wyrazów na opisanie jego piękności, bo pomyślcie tylko: las drzew, przemieniony w agat! Przypomniały mi się bajki słyszane w dzieciństwie, w których to pałace bywały złote, okna dyamentowe, a dachy z rubinów lub korali... Wielkość niektórych pni jest prawdziwie zdumiewająca, a wiele odłamów wskazuje, że należały do pni mających po sto i więcej łokci wysokości, przy odpowiedniej średnicy. Skupiają się tam wszystkie barwy znane w przyrodzie: onyksów, jaspisów, marmurów, malachitów, oraz gra światła

ametystów i topazów, cała gamma kolorów tęczy! Jedną z największych ciekawości tego lasu, jest most naturalny, utworzony z całego drzewa a dochodzący dwunastu łokci długości. Odrysowałem go sobie na przedce. Według opinii uczonych amerykańskich, *las Arizona*, zwany także *Chalcedony park*, jest cudem świata mineralogicznego, a jubilerowie utrzymują, że dostarcza jaspisu i agatu w najlepszym gatunku. Królewicz Kryształek niewątpliwie bardzo rad będzie temu nabytkowi: rozmyślał on nieraz, z jakiegoby materiału

dowierzenie w zwiedzającej publiczności, która znając amerykańską blagę, podejrzewała że to jest tylko zręczne naśladownictwo. Gdyby pień, który wiozę dla królewicza nie był zapakowany, pokazałbym go wam chętnie.

— Zobaczmy go w Marmurowej górze — rzekł Tamarix, który podczas ostatnich słów swego kolegi, zbliżył się niezauważalnie do sternika i pochwycił go za rękę w chwili, gdy tenże myśląc, że nikt na niego nie patrzy, wyjął z kieszeni niewielkie blaszane pudełeczko. Pasternak miał bardzo skruszoną



na trzy stopy przed fakirem stanął tygrys.

zbudować pałac dla następcy tronu, księcia Szafira, a marmuru, granitu, ani metali użyć nie chciał. Pragnął czegoś piękniejszego. Drzewa skrzemieniałego lasu, dadzą się wybornie użyć na tę budowlę, chociaż z powodu twardości będzie niełatwym do obróbenia! Oporność na wpływy atmosferyczne, czyni ten materiał nieocenionym, niemal wiecznym.

— Zdaje mi się — przemówił Tamarix — że ja niektóre przedmioty z tego agatu widziałem na Wystawie paryżkiej w zeszłym roku, jak naprzykład stoliki.

— A tak! Amerykanie je tam posłali, ale budziły nie-

minę a *corpus delicti* pozostał w ręku kapitana. Otworzył on pudełeczko i wyjąwszy jedną jagodę, rzekł pokazując mi ją.

— Patrz młodzieńcze, to jest nieznanany wcale botanikom gatunek winogron, zwany *Vinous Rubber Grapes*. Spróbuj tylko. Wziąłem jedną jagodę, zgmiotłem w ustach i poczułem smak tego araku. Nie przyzwyczajony do mocnych trunków, zacerwieniłem się i oczy mi nabiegły łzami. Kapitan rozśmiał się i rzekł.

— Jestto dowcipny amerykański wynalazek. W północnych stanach, wyrabiają sztuczne owoce jagodowe, złożone

z cienkiej błonki kauczukowej i wypełnione winem lub napojami spirytualnemi. Objętość jagody równa się zwyczajnemu kieliszкови średniej wielkości i jak każdy owoc jagodowy, spożywać się daje gniotąc w ustach i odrzucając łupinę. Jestto bardzo bogodne dla strzelców, dla podróżnych, wreszcie dla każdego, bo w każdej chwili użyć się pozwala bez zachodu, co szczególnie cenione jest w Ameryce, z powodu rozszerzającego się tam coraz więcej prawa o wstrzemięźliwości, utrudniającego dostanie napojów spirytusowych. Sprzedają je w eleganckich pudełeczkach po piętnaście sztuk. Pasternaka widocznie ktoś tem w porcie obdarzył, bo na kupienie sztucznych winogron żalowałby pewnie pieniędzy. Zadrogie są na jego kieszeń.

Chmury tymczasem powiększyły się trochę. Spojrzałem na morze; lekki wiatr marszczył chwilami jego powierzchnię w złotą łuskę jaśniejącą tysiącami barw.

Załoga Ametysta spostrzegła znowu okręt na widnokręgu. Zwrócono nań lunety i zdecydowano że to jest Mewa królewicza Pióropuszką. Mewa też widocznie dojrzała już Ametysta i Narcyza, bo dała kilka salw działowych na powitanie.

— Hm, hm — mruknął Tamarix — Tygrys musi być z czegoś bardzo rad, skoro tak proch marnuje. Widocznie wiezie dobrą zdobycz.

Tygrys, było to nazwisko kapitana Mewy, kapitan Ametysta zwał się Granit. Mewa, piękny trzymasztowy statek, zbliżała się szybko do nas, a kapitan stojący na pokładzie, wołał z daleka przez tubę.

— Co za szczęśliwe spotkanie! Narcyz, Ametyst i Mewa razem, choć każde z innych stron świata przybywa; to nam się już dawno nie zdarzyło! Cóż to wieziecie?

Dwaj dowódcy wymienili mu rodzaj swoich ładunków, pytając nawzajem co on takiego wiezie, że aż strzela na wiat. Tygrys był to człowiek bardzo jeszcze młody, widocznie pełen zapału i mający jak to mówią serce na dłoni, bo rzekł tryumfująco:

— Wiozę 1 a t a j ą c ą ż a b ę, *Rhacophorus Rheinwardti!*

— Winszujemy! — zawołali oba jednocześnie — otrzymasz pan z pewnością order.

— I ja się tak spodziewam.

— Czy można tę znakomitość zobaczyć?

— I owszem, zaraz ją panom pokażę. Zapraszam was do siebie na obiad; wypijemy za jej zdrowie.

Zahamowano okręty, co się osiąga przez umiejętne rozpięcie żagli. Jedne ciągną okręt naprzód, drugie w tył, przez co zapewnia się równowaga; rzucono pomosty i wszyscy przeszliśmy na pokład Mewy, gdzie Tamarix zapoznał mnie z kapitanem. Tygrys wyniósł ze swjej kajuty dużą kryształową czarę napełnioną do połowy wodą, w której na posłaniu z wodorostów i mchów, spoczywała ta o której Pióropuszek tak dawno marzył, której wyglądał z takim utęsknieniem, cała zielona, czarno nakrapiana. Patrzyła na nas czujkami, wypukłemi oczyma i chciała skoczyć, ale kapitan czujny na każdy jej ruch, nie chcąc utracić skarbu zdobytego z takim trudem, przykrył czarę natychmiast kryształowym dzwonem w którym u wierzchu był otwór dla przystępu powietrza, a choć żaba podskoczyła jeszcze dwa razy, przyczem miałem sposobność przypatrzeć się jej długim pletwom połączonym cienką błoną, jednakże uciec nie mogła.

— Posłałem już depezę do królewicza, jakiego szacownego pasażera mam na okręcie — dodał rozpromieniony Tygrys.

— Dla takiego ładunku, wystarczyłaby łupina orzecha kokosowego — odezwał się Tamarix — czy to cała pańska zdobycz?

Tygrys uśmiechnął się.

— Mam jeszcze coś więcej — powiedział — j a s z c z u r k ę r o g a t ą i z a k o n n i c ę.

— Co! — zawołali razem Tamarix i Granit. — Czyż królewicz Pióropuszek myśli w Koralewym grodzie klasztor zakładać? Gdzież ona jest? Spodziewam się, żeś ją pan pomieścił w wygodnej kajucie, a nie jako prosty ładunek na spodzie okrętu.

— Ma pomieszczenie zupełnie wygodne.

— Jakiejże reguły jest ta zakonnica i z kąd pochodzi? — pytał Tamarix, który widocznie bardzo był pobożny.

— Z Bawaryi. Co do reguły, to nie umiem panom powiedzieć. Zobaczcie sami i osądźcie.

— Ależ... my nie powinniśmy się naprzykrzać tak świątobliwej osobie, prawdopodobnie spędzającej czas na modlitwie.

— Biorę odpowiedzialność na siebie — odrzekł śmiejąc się Tygrys — zaczekajcie tu na mnie chwilę.

I odszedł zabierając z sobą żabę. Tamarix i Granit spojrzeli po sobie: pierwszy przybrał minę poważną i skupioną; drugi zapiął starannie mundur na wszystkie guziki. Tygrys powrócił z małym drewnianem pudełeczkiem w ręku, opatrzonem licznymi otworkami po bokach i zbliżywszy się do nas, otworzył je ostrożnie. W pudełku, na gałązkach jodłowych siedział biały motyl z czarnymi na skrzydłach zygzakami i czerwonym tułowiem. Popatrzyliśmy zdziwieni na zawartość pudełka i na kapitana, a Tamarix zapytał.

— Ładny jakiś motylek, ale gdzie zakonnica?

— To ona właśnie, w białym habicie. Motyl ten zakonnica się nazywa. Pojawiła się w tym roku w Bawarii, gdzie niszczy niemiłosiernie drzewa. Jest ona mała, ale potężna w masie; lasy jodłowe przez nią spustoszone obliczają się na tysiące hektarów. Wszelkie środki obronne użyte przeciwko niej, okazały się dotąd bezskuteczne, bo mnoży się w niesłychanej ilości. Człowiek jest od niej większy i mądrzejszy, a przy całym swoim rozumie, rady dać sobie z nią nie może.

Dostała się już do Monachium gdzie spadła tak niespodzianie, że w tych dniach goście zgromadzeni w jednym z publicznych ogrodów, musieli przed nią uciekać, bo w jednej chwili całe chmury tego owadu pokryły nie tylko drzewa, ale krzesła, stoły i ubrania obecnych! Bawarowie obawiają się, aby pięknemu ich lesistemu krajowi, nie przyszło to samo co Prusom Wschodnim w roku 1752, gdzie cicha ta zakonnica w białym habicie, spustoszyła lasy ze szczeniem.

— I pan wieziesz ten owad szkodliwy na Atlantę, żeby wspaniałe, bujne lasy królewicza Zielonki zamienić w pustynię! Ja nie mogę na to pozwolić. Aresztuję tę świątobliwą damę. Sprawię jej przyzwoity pogrzeb w łałach morskich, razem z pudełkiem, do którego przywiąże się kamień

— Bądź pan spokojny — odrzekł Tygrys — królewicz nie pozwoli jej szerzyć swojej reguły na wyspie. Potrzyma ją czas jakiś w zamknięciu, a potem sprawi jej śmierć lekką, bezbolesną, we fłaszeczce napełnionej wonią eteru. Gdy następnie ztamtąd dostanie się do jego muzeum, przestanie już być niebezpieczną. Wiozę ją właśnie królewiczowi jako osobliwy okaz.

(d. c. n.)

KOBIETY PERSKIE.

Kobiety na Wschodzie, t. j. w Turcyi, Persyi i t. d. wychodząc z domów, zasłaniają twarze różnorodnego kształtu zasłonami; stosuje się to jednak głównie do osób wyższego stanu: wieśniaczki i uboższe, a więc pracujące w ogóle, chcąc nie chcąc, muszą przy pracy obywać się bez zasłon, choćby się najbardziej tego wstydziły, gdyż inaczej byłoby to nazbyt kłopotliwem. W Marandzie w Persyi chodzą prawie z zupełnie odsłoniętymi twarzami, w odzieniu tylko podobnem do płaszcza przysyłającego je od wzroku obcych. I nie może być inaczej. Bo jakże tu myśleć i pamiętać o zasłanianiu się n. p. w dzień targowy, gdy trzeba się na wszystkie strony oglądać, targować, bronić niejako, nawiózłszy na rynek różnego towaru na sprzedaż; i mułów pilnować, dźwigających zboże w wielkich worach z sierści koziej, i kur przywiązanych za nogi parami na grzbiecie osłom; i sprzedawać zachwalając po kupiecku jagnięta, kozy, i przesłiczne osłątka siwe, malutkie, w czarnej pregi, niezmiernie ruchliwe, zabawne i potulne stworzonka. Inne znów gospodynie perskie na targu, częstują przechodniów zawzięcie ogórkami, melonami, brzoskwiniami, śliwkami, czereśniami, morwami, jajami i t. d.

Wszystko to jak widzimy wielce jest podobne do tego, co się i na targach naszych odbywa, a przy gwałtownem zajęciu takim trudno byłoby oczywiście myśleć o zasłanianiu twarzy. A i tak pomimo całej bacności i uwagi, zdarzają się rozmaite zajścia i przypadki. Raz n. p. wieśniak jeden oskarżył przed Ket-ktoda naczelnikiem miejscowym, miejscowego szewca o... pochwycenie bez pieniędzy kury, z pod rąk gospodyni, jego żony. Szewc zaprzeczał, zrzucając winę na dwóch innych kupujących jednocześnie kury i jaja u wieśniaczki. Ket-ktoda wysłuchawszy kłótni uważnie, zapytał pokrzywdzonego czy niema czegokolwiek od zginionej kury... jaj, pierza, sznurka, którym nogi miała przez dłuższy czas związane jadąc na osle?...

— Mam tylko pietnaście jęj kurczątek, bo doskonała była do *siedzenia* — westchnął skrzywdzony.

— Dawaj kurczęta!... — Ket-ktota wybrał troje kurcząt, rozdał je pomiędzy trzech obwinionych i rozkazał im zgłosić się po wyrok nazajutrz, po nocy przespanej razem z powierzonym każdemu z nich kurczątkiem...

— A pilnujcie ich dobrze — dodał — niechaj żadne życia do jutra nie straci, gdyż byłoby to jawnym dowodem że winny obawia się, aby niewinne kurczątko nie pociemniało od jego czarnego sumienia...

Wszyscy obecni rozeszli się, głęboko zamyśleni nad tajemniczymi słowy sędziego. Następnego dnia stawiono się w komplecie wraz z kurczętami, wedle rozkazu. Sędzia obejrzał bacznie kurczęta:

— Szewcze! — rzekł stanowczo — ty skradłeś kurę, bo oto podstawileś kurczę jasniejszego pierza, z obawy aby to, które ci dałem, nie pociemniało od twego sumienia! Oddaj wieśniakowi jego kurę, albo dwie inne jeżeli tamtej już nie masz, i wracaj tutaj natychmiast po pietnaście kijów! Zandarmie!... idź z szewcem i dopilnuj wyroku!

Wyrok spełniony został dosłownie.

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Uwierzymy! — odpowiedziano. — Tak, jest tygrys w tym oto lesie, słyszymy go co noc... i boimy się z chat wychodzić...

— Jutro gdy noc zapadać będzie czekajcie mię na drodze do lasu.

Nazajutrz po przytoczonej przez nas rozmowie fakira z krajowcami, krążyło pomiędzy ludem następujące opowiadanie: Gdy wszyscy zgromadzili się w oznaczonym miejscu, fakir podniósł obie ręce i oczy ku niebu, stał tak długą chwilę jak ciemny posąg, odrysowany wyraźnie na jasnym tle nocy, potem piersi podniosły mu się, usta w pół rozwarły, i wyszedł z nich okrzyk przenikliwy, przeciągły, który rozbrzmiał daleko po wszystkich krańcach i głębiach lasu.

Hindusi oczekiwali bacznie słuchając, z ręką na puginałach lub palcem na cynglach, w ciszy tak głębokiej że słyhać było własne ich acz tłumione oddechy. Ale parę minut przeszło, nic nie przerwało głuchęj ciszy.

Poraz drugi fakir wydał tenże sam okrzyk, i skrzyżował ręce na piersi, nieruchomy, zatopił dziwne spojrzenie w czarną głąb lasu... Znów nastąpiła chwila głuchęj ciszy, aż nagle, drgnienie przebiegło tłum... z czarnych gęstw leśnych doleciał głos tygrysi:

— Odpowiedział! Odpowiedział, idzie!...

Istotnie, szedł. Po niejakiem czasie ukazał się wśród odgłosu szeleszczących zarośli, w głębiach przesmyka leśnego, tam właśnie gdzie oczy fakira były zwrócone i w zrenicach tygrysa utkwione; zdawało się że musieli patrzeć sobie w oczy wzajem wprzód jeszcze, zanim dostrzedz się mogli w odległości. Zbliżał się, postępując powoli krok za krokiem, na trzy kroki przed fakirem stanął. Był taki ogromny, ruchy i członki jego zapowiadały tak straszną siłę i zwinność że tylko głę-

bokie przeświadczenie, iż poruszyć się byłoby to zerwać czar i zginąć, wstrzymywało tłum zbrojny od ucieczki, przerażeniem natchnionej. Niezwyczajnie rozszerzone źrenice tygrysa błyszczały fosforycznym blaskiem, znieruchomione pod spojrzeniem fakira, w pół rozwarta paszcza ociekająca pianą, ukazywała kły okropne... Fakir nie wydawał najlżejszego tchnienia, najmniejszy ruch nie zdradzał życia w tym skamieniałym na chwilę posągu z ciała ludzkiego, pod wpływem woli potężnej. Zwolna straszna postać tygrysa zaczęła prawie niedostrzegalnie ulegać zmianie; okropne spojrzenie łagodniało... paszcza przymykała się... aż, ciągle pod wpływem spojrzenia fakira, potwór leśny, pokonany, drżąc prawie, postąpił jeszcze krok naprzód, legł automatycznym ruchem u stóp pogromcy, i lizać je począł pokornie...

Krótką chwilą, długa jak wieczność dla tłumu widzów minęła, fakir dotrzymał słowa. Natenczas nieruchomy ciągle fakir, poruszył ustami, wymawiając kilka słów pocichu, tygrys wstał, z głową spuszczoną i skulonym ogonem, jak pies zgromiony, któremu pan rozkazał wracać z przechadzki „do domu”, zawrócił potulnie w gęstwinę leśną, tym samym przesmykiem jakim z niej wyszedł.

Po kwadransie głuchęj ciszy, w którą tłum zdawał się być zaczarowany, Mahal fakir obrócił się do niego:

— Czy wierzycie mi teraz? — zapytał.

— Wierzymy!... tyś jest prawdziwy poseł bóstwa, wychowaniec świętych braminów, którzy wśród postów długich i umartwień cielesnych, w tajemnicy świętych pagód w Benares wtajemniczyli ciebie w nadprzyrodzoną potęgę!... Rozkazuj!... święte są twoje rozkazy!...

— A więc... macie w dłoniach ostre żelazo, idźcie mściwie znieważone świętości nasze, tępiąc życie, które nie pochodzi z was, rozlewając krew, która nie jest z krwi waszej: pomsta! pomsta!

— Pomsta! — zawyły tłumy i potrząsając nożami rzucano się w stronę, gdzie najbliższe znajdowały się europejskie siedziby.

Zwrócić należy uwagę że cała powyższa opowieść, zarówno jak setki jęj podobnych, żyjąca do dzisiaj w ustach wszystkich Hindów, nie jest przecież zapisana nigdzie, nikt wiarogodny jęj nie potwierdza i z pomiędzy licznych wzmiankowanego tłumu w opowieści, nie istnieje, a co ważniejsza nie istniał podobno nigdy nikt, ktoby mógł rzec: „Ja tam byłem, ja widziałem”. Blizki krewny piszącego te słowa, znajdował się osobiście w Indjach w czasie strasznych wspomnianych wyżej wypadków, walcząc w szeregach angielskich, przebywał czas jakiś właśnie w okolicach Tungary, w chwili gdy świeżo zaszły ów fakt z ujarzmieniem tygrysa, przelatując z ust do ust, elektryzując ciemne tłumy, mające zawsze dziwne dla tygrysów względy. Otóż krewny ów, młody, bardzo światły żołnierz, dokładał wszelkich starań aby fakt stwierdzić na miejscu, tembardziej że sam niejednokrotnie już widział sztuki fakirskie. Na ten raz jednak niczego się nie dowiedział, nie nie stwierdził, bo już wówczas w czasie srożącego się rozboju nie mógł odnaleźć ani jednego świadka wzmiankowanego faktu.

— Ha, snadź wszyscy, którzy to widzieli zginęli w walce — odpowiadano na pytania, lecz nigdy nikt nie przypuszczał nawet, że tak cudowna bajka o tygrysie i fakirze Mahalu, jak mnóstwo innych mogła być zmyśloną zrecznie, i w obieg spuszczoną dla podburzenia fanatycznych tłumów.

Nietylko ciemnemu ludowi, ale nawet i zapalczywym fakirrom, fanatykom pustelnikom i ascetom indyjskim ani przez myśl nie przeszło, że wszyscy oni razem byli tylko ślepem narzędziem w rękach braminów, którzy tajemniczych swoich sposobów i religijnych pozorów używali, nie w celu pomszczenia świętości znieważonych, jak to ludziom wmawiali, lecz w najzupełniej ziemskim celu zniszczenia rządów angielskich zarówno jak i własnych książąt i pochwylenia władzy najwyższej nad całym krajem, bezpośrednio we własne ręce, gdy miejscowi książęta dawno już przez Anglików obezsilnieni, żyli po większej części w Benares, ściśle acz nieznacznie pilnowani.

V.

Podczas gdy mieszkańcy Tungara poduszczani przez fakira Mahala, po chwilowym wahaniu rzucili się ostatecznie na oślep w otwartą przed nimi krwawą arenę, zarówno jak i inni ich współziomkowie tak samo pobudzeni do działania przez innych wysłańców bramińskich, dwie zbiegłe przed napaścią rodziny, dążyły razem ze służącymi w raz powziętym kierunku, ku brzegom morskim, i wkrótce, po kilku dniach mniej więcej trudnej podróży, ujrzały pożądane morze.

— Jakaż tu cisza! Jak spokojnie! Może tu ludzie nie wiedzą nawet, że dalej w głębi kraju wojna okropna się sroży i krew się leje! — przemówił ktoś z uciekającej gromadki.

— Przedewszystkiem, o jakich ludziach mówisz? Toż to jest pustynia! żywego ducha niema. A nawet i morze puste, nigdzie ani śladu statku żadnego... Gdzieżeśmy to tu zaszedli?

— Nie zbyt daleko, bo nie mieliśmy na to czasu, bądź pewien; jakkolwiek prowincya Bengalu czyli Kalkuty jest istotnie rozległa, ale nie nazbyt zaludniona w teraźniejszych czasach, u brzegów zwłaszcza; zresztą nie jest tu znów taka zupełna pustynia jak się wam zdaje, czyliż nie widzicie tam oto ryżowego pola?... a nie wiecież jak staranną uprawę ryż potrzebuje? Oto tamy i całkowite urządzenie do zalewania wodą pola po zasianiu, a tam widzę i łódkę, która wnosząc z wątlęj budowy nie do bujania po morskich głębinach, ale przy ryżem żniwie bywa raczej potrzebną... Ho ho, nietylko są tu ludzie, ale nawet muszą to być bardzo staranni i pracowici rolnicy.

— Prawda, ale gdzież oni są w takim razie? Muszą przecież mieć jaką taką chatę?...

— Istotnie dziwna rzecz, że chaty nie widać. Zróbmy jak nieraz robiliśmy w czasie tej podróży, pozostawmy tu ukryci w zaroślach, a Mahora niech idzie na zwiady.

Poszedł Mahora i nads spodziewanie bawił prawie dzień cały, wrócił dopiero pod wieczór powiadając, że chata, której szukano, a nawet dwie i to dosyć obszerne znajdują się nie-daliej jak o pięćset kroków, ukryte wśród skał bardzo blisko brzegu morskiego, a mieszkańcy bardzo gościnni nietylko pozwalają za wynagrodzeniem odpowiedniem, gdyż biedni są, spocząć i zagościć na dłużej w chatach podróżnym, ale nawet żywności mogą trochę sprzedać i wszelką pomoc w razie potrzeby dać są gotowi, tembardziej, że mają nawet trochę broni ukrytej w kryjówce w skale pod chatą.

(d. c. n.)

Odowiedz na pytanie z N-ru 28 Wieczorów Rodziny.

Dlaczego nie wszystkie szklanki toż samo brzmienie wydawały, gdy w nie uderzano? Przyczyną tego jest:

Młody chłopiec, który wykonał to doświadczenie wybrał szklanki, z których każda miała grubość odmienną. Otóż ponieważ wysokość tonu zależy od ilości drgań, któremu ulegają cząsteczki danego ciała pod wpływem uderzenia, a ilość tych drgań od jego długości i grubości, więc cały szereg szklanek różnych wymiarów różne tony wydawać musiał. Ten szereg porównać można do jakiego instrumentu muzycznego, np. skrzypiec: szklanki miejsce strun zajmowały, wydając raz wyższe, to znów niższe tony.

Kuropatwa z nad Ikopetiu

Równie dobre odpowiedzi nadesłali: Czarny gołąb i Jaskółka z Czerwonej Rusi.

ZADANIE KONIKOWE.

ułożyła Zabka z Gudulina.

ta	ru	ne	ni	co	ko	ni	by
czna	więc	świa	by	ste	Co	ni	zga
dzie	cje	ce	sło	bez	by	by	mie
taj	dzia	lu	pła	ło	pro	dnąć	mie
ry	ma	wi	e	ła	pro	wśród	tło
two	wi	któ	cha	wał	lek	two	cznych
gne	mno	czy	su	i	mno	swia	za
ste	na	su	zi	os	kre	try	cie

S Z A R A D A.

dla Chmurki złocistej od Jaskółki z nad Ussy.

Mego pierwszego z trzeciem wypilaś już niemało; Oby ci się nigdy pierwsze z drugim nie dostało. Drugie i czwarte zdobi rycerza Któremu kraj losy powierza. Drugie trzecie miasto małe I nielicznie zamieszkałe. Pierwsze i czwarte znasz z Historii świętej, Stał się tam cud niepojęty. A wszystko przechodzi pustynie I nieraz w nich ginie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

S z a r a d y:

Po — wie — trze.

Gwiazdki geograficznój:

Reszt — Równio — Rodos — Ryłsk — Rugia — Rodan — Rion — Ronda.

Toskania.

Przy inteligentnej rodzinie pomieszczenie dla pańienek uczęszczających do jakichbądź zakładów, na żądanie przedstawić można rekomendacje osób znanych, zapewnia się troskliwą opiekę. Wiadomość w redakcyi.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (c. d.) — Kobiety perskie (z drzew.) — W Indyac. (z drzew.) — Odpowiedz na pytanie z N-ru 28-go Wieczorów Rodziny. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Kotki (z drzew.) M. W. — Komar, wiersz p. T. N. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłównki i rozwiązania. — Przynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodziwy p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

Miauczy i mruczy
Ostre ma pazury,
Łapie on myszy
I zagryza szczury.

I.

Jaką niespodziankę miała Jania.

Była sobie mała dziewczynka, nazywała się Jania. Mieszkała z rodzicami na wsi. Chowala się zupełnie sama, nie miała ani siostrzyczki ani braciszka i często jój było bardzo tęskno, bo nie miała się z kim bawić.

Aż razu jednego przychodzi do pokoju niańka i trzyma coś w fartuchu.

Jania zobaczyła w fartuchu niańki jeszcze trzy małe kotki. Jeden z nich był szary, drugi biały, a trzeci bury.

Małe kotki były zupełnie do siebie podobne, wszystkie miały jednakowe uszki sterczące, wąsiki na pyszczku, u łapek długie pazurki i sierść gładką i mięciuchną.

— Nianiu moja droga, czy to moje będą te kotki?

— A tak, twoje, będziesz się miała czym bawić.

Jania z radości skakać zaczęła i wołała na kotki: „kici, kici”, a potem objęła rączkami nianię i mocno ją pocałowała.

II.

Jak kocięta dzień spędzały.

Nazajutrz Jania obudziła się bardzo wczesnie, wszyscy jeszcze w domu spali, niania tylko sprzątała pokój.



Kotki.

-- Zgadnij Janeczko, co ci przyniosłam?

— No, a co?—spytała Jania, i podbiegła do niańki.

— Piękny podarek, co żyje i rusza się.

Jania była bardzo ciekawa, ale nie mogła zgadnąć.

— Może kura? — pytała. — Nie.

— No to wróbel?

— Nie—powiada niańka—to jest zwierzę o czterech łapach.

— No to pies?

— Nie, to zwierzątko jest mniejsze od psa, ma główkę okrągłą prawie, uszy stojące, na pyszczku długie wąsy, sierść gładziuchną, u nóg długie pazurki.

— A! to kot, kot! — zawołała Jania — widzę go widzę!

Jania może by i nie zgadła, ale kotowi znudziło się tak długo siedzieć w ciemności, wysunął więc główkę z fartuszka i dziewczynka go ujrzała.

— Patrzno, co ja tu mam jeszcze dla ciebie!

— Nianiu — spytała Jania pocichu — czy kotki moje śpią jeszcze?

— E, gdzie tam, dawno już wstały — mówiła niania — ot widzisz jak mi się kręcą pod nogami.

Jania prędko podniosła główkę i zobaczyła kocięta. Stara kotka mruczała kr-miau-kr-miau, a młode biegały za nią.

Jania wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać, a ubierała się zupełnie sama, tylko niania jój staniczek zapinała z tyłu. Za chwilę już była przy śniadaniu.

— Nianiu, a co mam dać na śniadanie moim kotkom?

— Mleka z bułeczką: naleję ci tu na spodek, a ty wrzuc parę kawałeczków bułki i postawisz w kąciku.

Jania posłuchała rady niani, postawiła na ziemi spodeczek z mlekiem, a potem zawołała „kici, kici, kici,” i kotki zaraz przybiegły do jedzenia.

K O M A R.

Ale jak dziwnie jadły! Wcale nie tak, jak Jania — wysuwały języczek i lykały prędko.

Jania usiadła na ziemi, nachyliła główkę i przyglądała im się uważnie. Kotki zjadły wszystko, co było, a nawet wylizały spodeczek.

Wtedy stara kotka usiadła na dywanie, a małe zaczęły się z nią bawić.

Co też one nie dokazywały! to za ogon ciągnęły. Stara kotka czasem szarpnie ogon i kocięta przewrócą kocielka.

Jania z zachwytem przyglądała się ich figielkom i zapragnęła pobawić się z niemi.

Przysiadła się do nich, zaczęła je głaskać, a kotki nie uciekały, stara kotka nawet piosenkę swoją kocią jęj zamruczała.

Później Jania wzięła kawałek papieru, przywiązała sznurek i biegła po pokoju, a kotki ją gonity, bo chciały koniecznie papier pochwycić. Czasem chowały się małe kotki pod stół i zaczajały, to znowu rzucały się na papierce, a Jania wciąż uciekała.

III.

Co robiła stara kotka.

Bardzo wesoło było teraz Jani, bawiła się aż do obiadu. Po obiedzie znowu karmiła kotki, ale stariej nie było. Szukała ją Jania w drugim pokoju, pod łóżkiem i stołem, lecz znaleźć nie mogła.

Kocięta same jadły obiad.

Nadszedł wieczór, a kotki jak niema tak niema.

— Nianiu, moja kochana, czy nie wiesz, gdzie teraz może być stara kotka? Nigdzie jęj niema i kocięta się zatęsknią.

— A wiem, kochanko, bom ją sama do śpiżarki zamknęła.

— A dlaczego niania ją zamknęła? — spytała Jania — czy ona co złego zrobiła?

— Nie, dziecinko — powiedziała niania — zamknęłam ją aby myszy wytępiła.

— A co robi kotek z myszami? — znów Jania spytała.

— Łapie je i zjada, a czasem tylko dusi.

— Czy to dobrze, nianiu, kot robi?

— Bardzo dobrze, bo przecie wiesz jakie szkody myszki wyrządzają.

I Jania przypomniała sobie, że naprawdę myszy zjadają sery i szynki w śpiżarce, iż są bardzo szkodliwe zwierzęta.

Potem Jania poszła do swoich kociątek na dobranoc i zastała już przy nich starą kotkę.

Niania już ją wypuściła ze śpiżarki, Jania popieściła wszystkie i poszła spać, a zasypiając jeszcze myślała, jak ona jutro kolorowy papierek przywiąże do sznurka i ubawi się z kociętami.

— A stara pójdzie myszy łapać — przemówiła Jania zupełnie pocichu... i... usnęła.

Marya Werylo.

„Wróg zawzięty na tym świecie
To jaskółka dla mnie w lecie.
Ach! prawdziwa ta poczwara
Wciąż poluje na komara!”
Komar z żalem tak powiada
I do bliżkiej stajni wpada,
A latając ciągle w kóiko,
Rad, że skrył się przed jaskółką.
„Ach! mój Boże!” — komar wdycha...
„I tu na mnie pająk czyha;
Wszędzie rozpiął pajęczynę —
Gdy w nią wpadnę, pewno zginę!...
Oj, ten pająk, łotr bez serca,
To owadów zbój, morderca!”
By uniknąć jego sieci,
Do pałacu komar leci.
Pałac, własność to książęca.
Już tu pająk się nie znęca
Nad komarem i nad muchą;
To nie uszłoby na sucho...
Wszak w książęcój obecności
Nie dopuszczają takich gości!
Zawitała już noc szara,
Ucieszyło to komara.
Dlań otworem pałac cały:
Okna światłem zajaśniały.
Przez okno, bez czasu straty,
Wleciał komar do komnaty,
W której światło gorejące
Dla komara tak jak słońce.
Komar, blaskiem świec olśniony,
Wpada w świecę jak szalony.
Biedny komar w jęj płomieniu
Stracił życie w oka mgnieniu.

* * *
Drogie dzieci! czy wy wiecie,
Że tak bywa i na świecie.
Jak ów komar tak i człowiek
Do zawarcia swoich powiek
Na cierniowej świata drodze
Bez ustanku żyje w trwodze:
Czy to zblizka czy z daleka
Zawsze jedno z nieszczęść czeka.
Choć przed jednym się uchroni,
To już drugie za nim goni;
Niech więc każdy człowiek wszędzie
W życiu swem ostrożnym będzie!...

T. N.

OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

Szczypawka zdawała się głęboko przejęta niedolą bliźniego owadu, lzy jęj nawet błysnęły w oczach, co nam pozwala sądzić, że uszczypliwy języczek nie zawsze

jest dowodem złego serca, a nawet często z najlepszym w parze chodzi, chociaż zwykle wskazuje niezbyt staranne wychowanie.

Otóż nasza szczy pawka csuszywszy łyzy na słońcu, po głębokim namyśle zwróciła się z nową radą do stroskanego przyjaciela.

— Jest jeszcze jeden sposób — rzekła — możesz historię twą opowiedzieć jakiemu zacnemu owadowi, któryby się zobowiązał przekazać ją wiernie twym dzieciom.

Motylek, jak zwykle motylek, niestały i zmienny w swych uczuciach, ożywił się i rozjaśnił na chwilę, a potem posmutniał i zachmurzył się znowu.

— Gdzież szukać istoty zdolnej do takiego poświęcenia — zauważył zupełnie już zniechęcony, i spuścił skrzydełka na wzór ludzi, którzy w wątpliwych okolicznościach życia spuszczaają nos na kwintę.

— Przepraszam cię mój motylku, ale prawdziwie niedołęga z ciebie — zawołała szczy pawka zniecierpliwiona, pomimo całego współczucia nieradnością i niedomyślnością przyjaciela. Wszak ogród nie jest pustynią, dosyć tu gwarno, a przypuszczam, że nie zbrakło jeszcze szlachetnie myślących owadów na świecie; w ostatecznym razie — dodała skromnie — nie chcę się narzucać, ale jeśliś mię uważał za godną zaufania, z przyjemnością ci służę...

— Dzięki przyjaciółko — przerwał motyl z zapalem — wracasz szczęście i spokój memu stroskanemu sercu. Jakże ci się zdołam odwdzięczyć, jak podziękować...

— Nie, nie, obejdzie się bez podziękowań — mówiła szczy pawka z zachwycającą godnością: — każdy porządny owad postąpiłby tak samo na moim miejscu. Ale teraz pomówmy rozsądnie: straciliśmy dużo czasu na przyjemnej pogawędce, patrz, słońce wysoko, głodna jestem i muszę się spieszyć na obiad; do widzenia więc, gdy zadzwonią po południu zejdziemy się tutaj i wtedy, opowiesz mi swoje dzieje.

Pożegnali się uprzejmie i pofrunęli każde w swoją stronę, oboje zadowoleni: motyl, że znalazł tak usłużną powierniczkę, szczy pawka, iż będzie miała sposobność usłyszenia czegoś nowego, a zaspakajając własną ciekawość, uczyni przysługę stroskanemu przyjacielowi. Rozeszli się więc w różowym usposobieniu i zapewne obiadek smakował im jak nigdy. Nie przebrzmiały jeszcze w powietrzu ostatnie dźwięki dzwonka, zwołującego wiejskich robotników do pracy, a nasz motylek czekał już na stanowisku. Wkrótce nadfrunęła szczy pawka muskając wesoło w przelocie skrzydełkami liście drzew i wysokie trawy.

— Słowny jesteś, motylku — wołała z daleka — co do mnie spóźniłam się trochę, ale ciepłe promienie słoneczka tak mię ukołysały, że urządziłam sobie pyszną poobiednią drzemkę w kielichu różowego gwoździka, i zasnęłam dłużej niżby należało.

— Ja także w tój chwili przybyłem — odparł motylek — zresztą obowiązkiem moim jest czekać na taką miłą i zachwycającą przyjaciółkę; z twojej strony dosyć łąski, że raczyłaś stawić się na oznaczonym miejscu.

Szczy pawce pochlebity trochę uprzejme te słówka, ale wiedząc, że pochlebcy motyle chętnie i bezmyślnie

z przyzwyczajenia tylko, prawią czasem grzeczności, a jako rozsądny owad nie chcąc być pomówioną o próżność, udała zupełną obojętność i usadowiwszy się wygodnie na rozłożystym listku. — Opowiadaj motylku, jestem gotowa — rzekła uprzejmie.

— Na początku zaraz przepraszam, jeżeli okażę się rozwlekłym w opowiadaniu, zwykła to wada poważnego wieku, starość lubuje się wspomnieniami minionych, chociażby niezbyt szczęśliwych, ale zawsze owianych urokiem młodości, chwil przeszłej doli.

— Nic nie szkodzi — zawołała szczy pawka — ja bardzo lubię ciekawe opowiadania, zaczynaj, proszę.

Motylek złożył skrzydełka pionowo we właściwy sobie sposób, spojrzął w niebo jakgdyby szukając natchnienia w przejrzystych błękitach i po chwili namysłu opowiadać zaczął w te słowa:

— Najdawniej jak sięgają moje wspomnienia, pamiętam się śliczną, pulchniutką, kosmatą liszką, żyłem szczęśliwie bez cienia smutku lub troski na zagonie kapusty, a jedyne moje zmartwienia stanowiły w tym czasie zagadnienia i trudności odnoszące się do sztuki jedzenia. Smakoszem byłem wielkim, a i apetyt przyznać trzeba, miałem wtedy niezwykły.

— Ach wiem, wiem, znane jest wszystkim szkaradne łakomstwo liszek — przerwała szczy pawka pogardliwie.

— Niestety, niepodobna sprzeczać się o prawdę, masz zupełną siusznosc przyjaciółko — zauważył motyl; — rzeczywiście, — mówił dalej, — nie odznaczałem się wówczas wielką wstrzeźliwością: nieraz zdarzyło mi się nadużyć śniadania lub obiadu, wtedy ze względu na zdrowie wychodziłem zwykle na daleką przechadzkę. Pewnego poranku znalazłem wyśmienity listek kapusty, świeży, zielony, błyszczący kropelkami rosy, jednym słowem przedziwny przysmaczek; spożyłem część z prawdziwą przyjemnością, zostawiając resztę na później i swoim zwyczajem wyszedłem przejść się trochę po ciepłym piasku uliczki. Słońce mile przygrzewało, a ja czołgałem się wolniutko, szczęśliwy, zadowolony z siebie i ze światła. W około wszystko się weseliło: owady brzęczały, kwiatki rozchylały swe barwne kielichy i chciwie spijały orzeźwiająca rosę poranku, a konik polny w trawie wesołym śpiewem objawiał swą radość.

— Co za cudny dzień, cóż za uroczyste życie! — wołał wyskakując ochoczo. Chociaż to znany trzpiot i różniliśmy się wówczas w wielu poglądach, ale to jego zdanie podzielałem w zupełności: dziwnie mi było lekko, swobodnie, życie się uśmiechało, a soczyste liście obiecywały smaczny obiadek. Któż mógł przewidzieć, że za chwilę... ach jakże niestałem jest szczęście liszek!... Ale nie uprzedzajmy wypadków:

Przechadzałem się dosyć długo i zamyślałem już o powrocie do domu, gdyż głód dający się coraz dotkliwiej uczuwać przypominał mi, że zdałaby się jakaś przekąska przed obiadem, wtem usłyszałem przeraźliwe głosy ludzi. Zbliźali się, to nie ulegało wątpliwości. Zadrżałem z trwogi i zabierałem się do ucieczki, ale jak wiesz liszki nie odznaczają się zbytnią ruchliwością, zmuszony, w braku motyli skrzydełek, zadawałniać się mojami sześcioma parami łapek, nie mogłem bardzo pośpieszyć.

Wkrótce ujrzałem obok siebie na ziemi dwa cienie, niemylnie zwiastuny grożącego mi niebezpieczeństwa; wystraszony przyciłem się do trawy, ale nic nie pomogło. Mała dziewczynka z różową buzią i krótkimi włoskami spostrzegła mię zaraz i ucieszyła się bardzo mym widokiem.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

od Niedolegi dla Promyczka ze Wspólnej.

Pierwszego dziecię zamiast ukłonu używa,
Drugie na stół podawanem bywa
A gdy całość odgadniesz
Nazwę stolicy mieć będziesz.

Łamigłówka literowa.

Z liter podkreślonych w następującem zdaniu:
ryś srogi czyha na jelenie z **rogami** i **inne** dzikie **zwierzęta**. wybrać tytuł znanego Pisemka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go

Homonimu szaradowego:

Ż e b r a k.

Łamigłówki:

1. Kot. 2. Kos. 3. Sok. 4. Sto. 5. Kit. 6. Lot. 7. List.

Skrzynka do listów.

Droga **Złota Rybko**, istotnie dziwiło nas to dla czego od tak dawna wcale się do nas nie odzywasz. Przypuszczaliśmy, że ci do tego przeskadzają zajęcia naukowe lub zabawa, a tymczasem ty, biedactwo kochane, takie ciężkie masz kłopoty i taką troskę bolesną! Serdecznie współczujemy z tobą, serdecznem słowem radziłyśmy ci ująć ciężaru... aleś ty już sama najlepszy środek ulgi znalazła. Wierzaj, dziecko, kto się całą siłą woli broni zniechęceniu, temu nigdy sił nie zabraknie, bo w życiu ten górą, kto wytrwały i mężny. I dla tego też z radością widząc cię taką, przesyłamy ci nie słowa współubolewania i pociechy, ale słowa radosnego powinszowania, że się poczuwasz do obowiązku być taką, jaką z listu twego widzimy, że jesteś. Jeden z tych poetów naszych, co tak umieją pieśnią wtorować każdemu nastrojowi duszy, ślicznie to powiedział, co mybyśmy wyrazić chcieli:

„Odważnie, dziecko! dzień życia nie wieczność,
„Przez cierni do palmy — to życia konieczność!...”

Bluszcz i **Złota Różeczka** zapóźno przysłały nam wypracowania konkursowe. Dobrze i starannie są napisane, ale... Jego Królewiczowska Mość już sobie wybrała podróżnika na Atlantę!

Filaretko miła, wicie z doświadczenia, że wszelkie pytania dotyczące się **Golałki**, puszczamy mimo uszu. Ta, która pragnie być zwana przez was, **Dobrą panią** czytuje listy wasze i odpowiada na nie, a jeżeli się kiedy kim wyręcza, to osobą, zarówno jak ona, po macierzyńsku was kochającą. Zgadłaś... liściki czekają „kolei”.

Nowy pseudonym **Kukuleczki z Wołynia** wpisałiśmy do księgi pseudonimów; **Wieczory** wyprawiać będziemy.

Gwiazdkę na zachodzie dołączyliśmy także do innych **Gwiazdek**; ofiarę dla biednych przyjmujemy z wdzięcznością; numer żądany wysłamy, list w swoim czasie umieścimy; serduszko tój **Gwiazdki** zdobyć pragniemy...

Kuropatwo z nad Ikopetiu, minęła już młodość tój, którą zwiecie **Dobrą panią**, ale tem serdeczniejsza miłość jój dla was, którym znowu z kolei śnić się zaczęcie ów „sen na kwiatach...”

Głoksynio kochana, więc i ty już do staruszek przechodzisz? **Liściki** twoje pójdą do druku we właściwym czasie.

Prawda śliczny miała pomysł, pocziwego serduszka dowodzący. Winszujemy go jój z całego serca... Zanim odbierzesz nasze odpowiedź, ciekawość twoja zaspokojoną już będzie — my tylko zapewniamy, że „nie naprzykrzusz” nam się listami.

Pracę **Niezapominajki z nad Warty** przejrzymy przy sposobności; dla wiadomości innych ogłaszamy że **Niez.** wypróbowała oba sposobów zasuszania kwiatów, uznała suszenie w piasku za lepsze.

Dla czegożby list twój, **Semitko**, miał zostać bez odpowiedzi? Wszystkie nasze czytelniczki składają miłą nam rodzinę, a jakże tu nie powitać serdecznie takiej korespondentki, która mając lat 11, do trzeciej klasy już idzie?

Stokrotko z nad Stochodu są osoby i rzeczy, których zapomnieć się nie godzi, a jednak z cierpieniem i żalem żyć się trzeba... Wiesz, kochanko, z jak serdecznem współczuciem ci to mówimy, dla tego uwierzysz, że to nasze „trzeba” jest z dobrem twym... Pismo, którego żądasz, opłacone; prenumerata roczna wynosi rs. 5; reszta zachowana do dalszego rozporządzenia.

Milutkie moje i ukochane **Cicha Wodo** i **Kopciuszk**! Zapewne myślicie iżem o was już zapomniała, lecz ja wam już oddawna odpisałam równie jak i **Kulce śniegowej**. **Liściki** mój zapewne tylko z powodu braku miejsca tak długo nie jest drukowany. Czy masz rodzeństwo, **Cicha Wodo**? Czy znasz „**Pamiętnik chłopca**” **Amicis’a**. Co porabiasz **Kopciuszk**? Ja prawie codzień zaprzęgam do dwuosobowego powozika myszatą klaczkę i sama powożąc odbywam z mym bratem kilkowieśowe wycieczki. Przygotowuję się do egzaminów, więc żegnajcie drogie siostrzyczki. **Biała Ostróżka**.

Kochana **Sosenko z nad Wisły**! Bardzo ci dziękuję za zagadkę, która mi się podobała. Co porabiasz? ty, i twoje rodzeństwo? Ciesz się, że jadę do **Kołobrzega**. Odpisz kochającemu cię **Listkowi Bzu**.

Kochane: **Wesoła Krakowianko** **Niezapominajko z Zucisza**, **Kuropatwo z nad Ikopetiu** i **Jagódka podolska**! Wiesz, że jestem blondynką, donieś mi więc o sobie. Czy znasz p. **Domicelę D.**? Cieszę się że chcesz się bliżej ze mną poznać, bo musisz być miłą jak śliczne niezabudki, które lubię bardzo. W **Latyczowie** nie byłam, w **Proskurowie** mieszkam nie dawno, mam lat 11-cie, uczę się w domu przy cici. Kochana **Kuropatwo** mam trzy siostrzyczki młodsze odemnie i jednego brata swawolnika. Mylisz się, droga **Jagódka** jestem córką oficera. Napisz mi ile masz rodzeństwa? Ścisła was **Blondynka podolska**.

Kochany **Rowrze z krocketu**! Witam cię pierwsza w naszym dzienniku. Donieś mi moja droga czy siostrzyczka zgodziła się już na pseudonym „**Żmudzkiej perełki**”? Jeśli tak, to natychmiast do niej napisz. Oczekuję odpowiedzi w przyszłym numerze **Wysepka na Rojście**.

Pomarańczarko Rzymska! Wielki czuję do ciebie pociąg, i bardzo bym chciała zapoznać się z tobą chociaż listownie. Przedstawiam ci się jako 12 letnia blondynka o krótkich kręjących się włosach i niebieskich oczach. Jestem najczystszej krwi **Ukrainką**, żywą i wesołą. Co lubisz? Ja gospodarstwo, spacer, konie. Czy cię zajmuje „**Pod wpływem błogosławieństwa**”? Mnie najwięcej się podoba „**Branka litewska**” ze swemi opisami zwyczajów starożytnej Litwy. Chętnie bym z tobą jeszcze gawędziła, lecz na to niema miejsca, żegnaj cię więc. **Biała Ostróżka**.